



Pejzaż

KAZUO ISHIGURO

w kolorze sepia

Laureat
NAGRODY
NOBLA
2017



ALBATROS

Rozdział 1

Niki, czyli imię, które nadaliśmy ostatecznie mojej młodszej córce, nie jest skrótem – to wyraz kompromisu, który zawarłam z jej ojcem. Paradoksalnie to właśnie on chciał dać jej japońskie imię, a ja – być może powodowana jakimś egoistycznym pragnieniem odcięcia się od przeszłości – należałam na angielskie. W końcu zgodził się na Niki, uważając, że pobrzmiewają w nim odległe echa Wschodu.

Przyjechała do mnie w odwiedzinie na początku tego roku, w kwietniu, gdy w powietrzu nadal unosił się chłód, a z nieba leciała mżawka. Być może zamierzała zostać dłużej, lecz tego nie wiem. Dostrzegłam jednak, że mój wiejski dom i otaczająca go cisza wprawiają ją w niepokój i że niecierpliwie wyczekuje momentu, gdy powróci do swojego życia w Londynie. Z irytacją słuchała moich płyt z muzyką klasyczną i przerzucała stroni-

ce rozlicznych pism. Telefonowano do niej regularnie, a wtedy – chuda, okryta obcisłym strojem – jednym susem przesadzała dywan, zawsze starannie zamykając za sobą drzwi, bym przypadkiem nie dosłyszała jej rozmowy. Wyjechała po pięciu dniach.

Dopiero na drugi dzień wspomniała o Keiko. Ranek był szary i wietrzny, więc przysunęłyśmy fotele do okna, by obserwować deszcz obmywający mój ogród.

– Spodziewałaś się, że przyjadę? – spytała. – To znaczy na pogrzeb?

– Nie, chyba nie. Nie myślałam, że się pojawisz.

– Ta wiadomość naprawdę mnie poruszyła. Byłam o krok od przyjazdu.

– Nigdy się nie spodziewałam, że przyjedziesz.

– Ludzie nie wiedzieli, co w rzeczywistości mnie męczy – rzekła. – Nie powiedziałam nikomu. Zdaje się, że byłam ogromnie zmieszana. Nie zdołaliby tego pojąć, naprawdę nie mogliby pojąć tego, co czułam. Przecież siostry powinny być sobie bliskie, prawda? Można ich nie lubić, lecz mimo wszystko pozostają nam bliskie. Ale tak nie było. Nawet nie pamiętam teraz, jak wyglądała.

– Tak, od waszego spotkania upłynęło już trochę czasu.

– Pamiętam tylko, że przy niej zawsze czułam się niešťeśliwa. To wszystko, co mi się z nią kojarzy. Niemniej jednak poczułam smutek, gdy się dowiedziałam.

Być może nie tylko cisza sprawiła, że moja córka zapragnęła wrócić do Londynu. Choć nigdy nie rozwodziłyśmy się nad śmiercią Keiko, ona zawsze była gdzieś w pobliżu, unosząc się nad naszymi głowami, gdy zasiadałyśmy do rozmowy.

Keiko, w przeciwieństwie do Niki, była czystej krwi Japonką i wiele gazet szybko zwróciło uwagę na ten fakt. Anglicy z upodobaniem pielęgnują w sobie przekonanie, że nasza rasa ma instynkt samobójczy; zupełnie jakby dalsze wyjaśnienia stawały się niepotrzebne. Doniesienia zawierały tylko dwie informacje: że była Japonką i że powiesiła się w swoim pokoju.

*

Tego samego wieczoru stałam przy oknie, wpatrując się w ciemności, gdy z głębi pokoju dobiegł mnie głos Niki:

– O czym teraz myślisz, mamó? – Siedziała na sofie z książką na kolanach.

– Myślałam sobie o kimś, kogo kiedyś znałam. O kobiecie, którą kiedyś znałam.

– O kimś, kogo znałaś... zanim przyjechałaś do Anglii?

– Znałam ją, gdy mieszkałam w Nagasaki, jeśli o to ci chodzi. – Nie spuszczała ze mnie wzroku, więc dodałam: – Dawno temu. Na długo przed poznaniem twojego ojca.

Zdawała się usatysfakcjonowana i wygłosivszy jakąś ogólnikową uwagę, powróciła do swojej książki. Pod wieloma względami Niki jest czułym dzieckiem. Nie przyjechała jedynie po to, by zobaczyć, jak przyjąłm wiadomość o śmierci Keiko; zjawiła się tutaj z określoną misją. W ciągu ostatnich bowiem lat umyśliła sobie podziwiać pewne zdarzenia z mojej przeszłości i zjawiła się gotowa, by powiedzieć mi, że bynajmniej nie zmieniła zdania i że nie powinnam żałować podjętych ongiś decyzji. Krótko mówiąc, aby uspokoić mnie, że nie jestem odpowiedzialna za śmierć Keiko.

Nie mam większej chęci rozwodzić się teraz nad sprawą Keiko, gdyż niewielkie przynosi mi to ukojenie. Wspominam tu o niej dlatego, że wiązała się z tamtą kwietniową wizytą Niki oraz że właśnie wówczas, po tak długim czasie, przypomniałam sobie Sachiko. Nigdy nie znałam jej dobrze. Prawdę mówiąc, na naszą przyjaźń złożyło się zaledwie kilka letnich tygodni wiele lat temu.

*

Najgorsze było już wtedy za nami. Jak zwykle roilo się od amerykańskich żołnierzy, gdyż trwały walki w Korei, lecz w Nagasaki, w porównaniu z tym, co działo się wcześniej, dni były pełne spokoju i ulgi. Świat przeczuwał nadchodzące zmiany.

Mieszkałam wówczas wraz z mężem we wschodniej części miasta, skąd tramwajem szybko można się było

dostać do centrum. W pobliżu płynęła jakaś rzeka; powiedziano mi kiedyś, że przed wojną na jej brzegu leżała niewielka wioska. Później jednak spadła bomba i z wioski zostały jedynie zwęglone ruiny. Rozpoczęto odbudowę i niebawem stanęły tam cztery betonowe budynki, z których każdy liczył około czterdziestu oddzielnych mieszkań. Z tych czterech budynków nasz był ostatni i wskazywał, że program odbudowy tu właśnie ugrzązł w martwym punkcie. Między nami a rzeką rozciągało się pustkowie, kilka akrów wyschłego błota i rowów. Wielu ludzi uskarżało się, że jest to zagrożenie dla zdrowia, i rzeczywiście ich skargi nie były bezpodstawne. Przez okrągły rok wszystkie doły pełne były stojącej wody, a w miesiącach letnich moskity stawały się wręcz nie do zniesienia. Od czasu do czasu pojawiali się urzędnicy kierujący pomiarami lub sporządzający notatki, lecz miesiące mijały i nic się nie działo.

Mieszkańcy owych bloków podobni byli do nas – młode małżeństwa. Mężowie najczęściej pracowali w rozwijających się wówczas firmach. Wiele z tych mieszkań stanowiło własność owych firm, które wynajmowały je swoim pracownikom na korzystnych warunkach. Mieszkania nie różniły się od siebie: na podłogach leżały bambusowe maty, zwane tatami, a łazienki i kuchnie urządzone w stylu zachodnim. Były małe i podczas cieplejszych miesięcy szybko się nagrzewały, lecz właściwie wśród ich mieszkańców panowało zadowolenie. Pamię-

tam wszakże wyczuwalną tam atmosferę tymczasowości, jak gdyby każde z nas wyczekiwało dnia, kiedy przeniesie się w jakieś lepsze miejsce.

Tylko jeden drewniany domek przeżył wojenne zniszczenia i prace państwowych spychaczy. Widziałam go z naszego okna – stał samotnie na skraju tego pustkowia, praktycznie tuż nad samą rzeką. Takie domki można często spotkać na wsi – ich dachy, kryte dachówką, opadają ukośnie prawie do samej ziemi. Nierzadko, w chwilach pustki, stałam w oknie, uporczywie się weń wpatrując.

Sądząc po wrażeniu, jakie wywołało przybycie Sachiko, nie ja jedna wpatrywałam się w ów domek. Dużo spekulowano na temat dwóch mężczyzn, których widziano tam kiedyś przy pracy – czy byli państwowymi robotnikami, czy też nie. Potem zaczęto mówić, że mieszka tam jakaś kobieta z córeczką, a ja widziałam je kilka razy, gdy przemierzały poprzecinane rowami pustkowie.

Mniej więcej na początku lata – byłam wtedy w trzecim lub czwartym miesiącu ciąży – po raz pierwszy zauważyłam ten wielki amerykański samochód, biały i poobijany, który podskakując na wybojach, zmierzał w kierunku rzeki. Miało się już dobrze ku wieczorowi, a zachodzące za domkiem słońce przez moment załśniło w karoserii samochodu.

Potem pewnego popołudnia usłyszałam na przystanku tramwajowym dwie kobiety rozmawiające o niezna-

jomej, która wprowadziła się do opuszczonego domu nad rzeką. Jedna z nich opowiadała, jak to odezwała się tego ranka do owej pani i dostała wyraźną odprawę. Jej przyjaciółka zgodziła się, że nowo przybyła jest nieprzyjazna – najpewniej zrozumiwała. Musi mieć co najmniej trzydziestkę, jak przypuszczają, gdyż dziecko ma około dziesięciu lat. Ta pierwsza kobieta powiedziała, że nieznamoma mówi dialektem tokijskim i na pewno nie pochodzi z Nagasaki. Przez chwilę mówiły o jej „amerykańskim przyjacielu”, po czym owa kobieta powróciła do tego ranka i nieuprzejmości nowo przybyłej.

Teraz nie mam wątpliwości, że wśród otaczających mnie wówczas kobiet znalazły się takie, które wiele wycierpiały i które były dręczone straszliwymi wspomnieniami. Gdy jednak przypatrywałam się im dzień po dniu, jak pracowicie doglądają swoich mężów i dzieci, wręcz nie mogłam uwierzyć w to, że kiedykolwiek dotknęły ich tragedie i koszmary wojny. Nigdy nie starałam się uchodzić za nieprzyjazną, lecz prawdopodobnie rację mieli ci, którzy twierdzili, że nie czyniłam żadnych wysiłków, by rozwiać to wrażenie. Działo się tak dlatego, że w owym okresie mojego życia nadal pragnęłam, by pozostawiono mnie w spokoju.

Dlatego z niemalym zainteresowaniem przysłuchiwałam się rozmowie tych dwóch kobiet na temat Sachiko. To popołudnie na przystanku tramwajowym trwa jak żywe w mojej pamięci. Był to jeden z pierwszych jasnych,

słonecznych dni po czerwcowych deszczach i wszędzie dookoła nasiąknięte wodą cegły i beton schły w promieniach słońca. Stałyśmy na moście kolejowym i po jednej stronie torów, u stóp wzgórza, widać było skupisko dachów, jak gdyby domy sturlały się ze zbocza. Za tymi domami, w niewielkim oddaleniu, znajdowały się nasze bloki, cztery sterczące betonowe słupy. Opanowało mnie wtedy coś na kształt współczucia dla Sachiko i wydało mi się, że rozumiem po części tę powściągliwość, którą dostrzegłam, obserwując ją z oddali.

Tego lata miałyśmy zostać przyjaciółkami i przynajmniej przez krótki czas mogłam cieszyć się jej zaufaniem. Trudno byłoby mi opisać nasze pierwsze spotkanie. Pamiętam, że pewnego popołudnia dostrzegłam jej sylwetkę daleko przed sobą na ścieżce prowadzącej z terenu, gdzie stały bloki. Śpieszyłam się, lecz Sachiko maszerowała szybkim krokiem. Wtedy na pewno znałyśmy się już z imienia, pamiętam bowiem, że zawołałam do niej, gdy znalazłam się bliżej.

Sachiko odwróciła się i poczekała, aż zrównam się z nią.

– Czy coś się stało? – spytała.

– Cieszę się, że cię znalazłam – powiedziałam, dyśząc. – Chodzi o twoją córkę. Gdy wychodziłam z domu, zauważyłam, że bierze udział w jakiejś bójce. Tam, niedaleko rowów.

– W bójce?

– Z dwójką innych dzieci. Jedno z nich to jakiś chłopiec. To była nieprzyjemna bójka.

– Rozumiem. – Sachiko ruszyła przed siebie. Podążyłam za nią.

– Nie chciałam cię niepokoić – odezwałam się. – To jednak wyglądało na nieprzyjemną bójkę. Wydaje mi się, że miała skaleczony policzek.

– Ach, tak.

– To było tam, na skraju tego pustkowia.

– Czy myślisz, że nadal się biją? – spytała, nie przerywając marszu na grzbiet wzgórza.

– Chyba nie. Widziałam, że twoja córka ucieka.

Sachiko spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Nie jesteś przyzwyczajona do widoku bijących się dzieci?

– No cóż, sądzę, że dzieci zawsze się biją. Lecz myślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć. A ponadto nie wydaje mi się, by wybierała się do szkoły. Inne dzieci szły w stronę szkoły, lecz twoja córka kierowała się ku rzece.

Sachiko nadal szła przed siebie, nie odzywając się ani słowem.

– Prawdę mówiąc – ciągnęłam – już wcześniej zamierzałam ci o tym powiedzieć. Widzisz, ostatnimi czasy nieraz widywałam twoją córkę. Gotowa jestem przypuścić, że pozwala sobie na wagarowanie.

Ścieżka rozwidlała się na szczycie wzgórza. Sachiko zatrzymała się i spojrzaliśmy na siebie.

– To miło, że tak się martwisz, Etsuko – powiedziała. – Doprawdy miło. Pewna jestem, że będziesz wspinałą matką.

Wcześniej wydawało mi się – podobnie jak kobietom na przystanku tramwajowym – że Sachiko ma około trzydziestki. Prawdopodobnie jednak zmyliła mnie nieco jej młodzieńcza figura, gdyż twarz Sachiko była twarzą osoby starszej. W jej spojrzeniu malowało się lekkie rozbawienie, a sposób, w jaki mi się przyglądała, sprawił, że zaśmiałam się z zażenowaniem.

– Wdzięczna jestem, że zwróciłaś się do mnie w taki sposób – kontynuowała. – Lecz, jak widzisz, jestem dość zajęta. Muszę iść do Nagasaki.

– Rozumiem. Po prostu pomyślałam, że najlepiej będzie, gdy cię znajdę i powiem ci o tym. To wszystko.

Przez chwilę patrzyła na mnie z tym samym rozbawieniem. Wreszcie powiedziała:

– Jak to miło z twojej strony. Teraz jednak proszę mi wybaczyć. Muszę iść do miasta. – Skłoniła się i ruszyła ścieżką prowadzącą do przystanku tramwajowego.

– Chodziło mi o to, że miała skaleczony policzek – powiedziałam, unosząc nieco głos. – A rzeka jest miejscami bardzo niebezpieczna. Pomyślałam, że najlepiej będzie, gdy cię znajdę i powiem ci o tym.

Odwróciła się, spoglądając na mnie raz jeszcze.

– Jeśli nie masz żadnych innych zmartwień na głowie, Etsuko, to może zechcesz zająć się przez dzień moją cór-

ką? – zaproponowała. – Wrócę po południu. Jestem pewna, że znajdziecie wspólny język.

– Nie mam nic przeciwko temu, jeśli tego sobie życzysz. Muszę powiedzieć, że twoja córka jest zbyt młoda, by pozostawiać ją przez cały dzień bez opieki.

– Jak to miło z twojej strony – powtórzyła Sachiko, po czym uśmiechnęła się kolejny raz. – Jestem pewna, że będziesz wspaniałą matką.

Po rozstaniu z Sachiko ruszyłam w dół wzgórza. Niebawem znalazłam się przy naszym bloku. Przedemną rozciągało się pustkowie. Ponieważ dziewczynki nie było, zamierzałam wejść do domu, lecz wtedy dostrzegłam jakiś ruch nieopodal brzegu rzeki. Mariko musiała wcześniej kucać, gdyż teraz widziałam jej postać wyraźnie odcinającą się od błotnistej przestrzeni. Początkowo opanowało mnie pragnienie, by zrezygnować z całego zamysłu i powrócić do prac domowych, w końcu jednak ruszyłam w jej kierunku, starannie omijając liczne rowy.

O ile nie zawodzi mnie pamięć, wtedy właśnie po raz pierwszy rozmawiałam z Mariko. Całkiem możliwe, że owego ranka w jej zachowaniu nie było nic niezwykłego, gdyż – mimo wszystko – byłam dla tego dziecka kimś obcym i miała pełne prawo traktować mnie z podejrzliwością. I jeśli naprawdę czułam się wówczas dziwnie nieswojo, prawdopodobnie była to najnormalniejsza reakcja na zachowanie Mariko.

Tego ranka nurt rzeki toczył się wartko, a poziom wody był nadal dość wysoki po zakończonej kilka tygodni wcześniej porze deszczowej. Ziemia opadała stromo, w dole łączyła się z brzegiem rzeki, a błoto u podnóża zbocza było zdecydowanie wilgotniejsze. Mariko ubrana była w prostą bawełnianą sukienkę sięgającą kolan, a krótko przycięte włosy nadawały jej twarzy chłopięcy wygląd. Podniosła wzrok bez uśmiechu, obrzucając mnie spojrzeniem.

– Dzień dobry – powiedziałam, stojąc na szczycie wzgórza. – Właśnie przed chwilą rozmawiałam z twoją matką. Na pewno jesteś Mariko-san.

Dziewczynka stała bez słowa, nie spuszczać ze mnie wzroku. To, co wzięłam poprzednio za skaleczenie na jej policzku, okazało się plamą błota.

– Czy nie powinnaś być w szkole? – spytałam.

Przez chwilę jeszcze milczała. Wreszcie odparła:

– Nie chodzę do szkoły.

– Ale przecież wszystkie dzieci muszą chodzić do szkoły. Nie chciałabyś też tam pójść?

– Nie chodzę do szkoły.

– Czy jednak twoja mama nie posłała cię tam?

Mariko nie odpowiedziała ani słowem. Zamiast tego odsunęła się ode mnie o krok.

– Uwważaj – ostrzegłam ją. – Bo wpadniesz do wody. Jest ślisko.

Nadal stała z zadartą głową, wpatrując się we mnie

uporczywie. Obok niej dostrzegłam leżące w błocie małe buty. Jej gołe stopy, podobnie jak buty, były całe ubłocone.

– Właśnie przed chwilą rozmawiałam z twoją matką – rzekłam, uśmiechając się uspokajająco. – Powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, byś zaczekała na nią u mnie w domu. To niedaleko, o tam, w tamtym budynku. Może przyjdiesz i spróbujesz trochę ciastek, które upiekłam wczoraj? Co ty na to, Mariko-san? Może przy okazji opowiesz mi coś o sobie?

Mariko wciąż bacznie mi się przyglądała. Potem, ani na chwilę nie spuszczając ze mnie wzroku, przykucnęła i podniosła swoje buty. Początkowo potraktowałam to jako znak, że zamierza pójść ze mną. Gdy jednak nadal wpatrywała się we mnie z zadartą głową, zdałam sobie sprawę, że podniosła buty, by przy pierwszej sposobności móc rzucić się do ucieczki.

– Nie zrobię ci krzywdy – zapewniłam z nerwowym śmiechem. – Jestem przyjaciółką twojej matki.

O ile dobrze pamiętam, tamtego poranka nie wydarzyło się między nami nic więcej. W żadnym wypadku nie pragnęłam jeszcze bardziej trwożyć dziecka, więc po chwili odwróciłam się i ruszyłam z powrotem przez pustkowie. Nie będę ukrywać, że reakcja małej nieco mnie zirytowała; w tamtych bowiem czasach byle drobiazg wywoływał we mnie najprzeróżniejsze złe przeczucia związane z macierzyństwem. Powtarzałam sobie, że

przecież nie ma to znaczenia i – tak czy inaczej – następną okazją do zaprzyjaźnienia się z dziewczynką niewątpliwie nadarzy się w ciągu najbliższych dni. Tymczasem do rozmowy z Mariko doszło pewnego popołudnia jakieś dwa tygodnie później.

*

Nigdy wcześniej nie byłam w tym domku, toteż zdumiałam się, gdy tamtego popołudnia Sachiko zaprosiła mnie do środka. Prawdę mówiąc, wyczułam natychmiast, że nie uczyniła tego bez powodu, i – jak się okazało – nie myliłam się.

Wewnątrz był porządek, lecz w pamięci utkwiła mi panująca tam atmosfera całkowitego zaniedbania; drewniane belki krzyżujące się na suficie były nadgryzione zębem czasu, a dookoła unosiła się słaba woń wilgoci. Drzwi we frontowej części domu były szeroko otwarte, by wpuścić trochę światła słonecznego przez werandę. Mimo to wewnątrz w dużej mierze tonęło w cieniu.

Mariko leżała w kącie najbardziej oddalonym od światła. Dostrzegłam, że coś porusza się w cieniu przy jej boku, a gdy podeszłam bliżej, ujrzałam dużego kota zwiniętego w kłębek na tatami.

– Dzień dobry, Mariko-san. Pamiętasz mnie?

Przestała głaskać kota i podniosła na mnie wzrok.

– Poznałyśmy się niedawno – ciągnęłam. – Czyż nie pamiętasz? Byłaś wtedy nad rzeką.

Brak reakcji z jej strony świadczył, że mnie nie poznała. Przypatrywała mi się przez chwilę, po czym znów zaczęła głaskać kota. Z tyłu słyszałam krzątanie Sachiko przygotowującej herbatę na otwartym piecu mieszczącym się pośrodku pokoju. Już miałam do niej podejść, gdy Mariko niespodziewanie się odezwała:

– Ona będzie mieć kocięta.
– Naprawdę? To wspaniale.
– Chce pani jednego kociaka?
– To bardzo miło z twojej strony, Mariko-san. Zastanowię się. Jestem jednak pewna, że każde z nich znajdzie sobie jakiś miły dom.

– A może weźmie pani kociaka? – nalegało dziecko. – Tamta pani mówiła, że weźmie jednego.

– Zobaczymy, Mariko-san. A cóż to za „tamta pani”?

– Ta inna kobieta. Kobieta, która mieszka po drugiej stronie rzeki. Powiedziała, że weźmie jednego.

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek tam mieszkał, Mariko-san. Tam jest tylko las.

– Powiedziała, że weźmie mnie do siebie do domu. Mieszka po drugiej stronie rzeki. Nie poszłam z nią.

Przyglądałam się dziecku przez chwilę. Potem mnie olśniło i się zaśmiałam.

– Przecież to byłam ja, Mariko-san. Czyż nie pamiętasz? Zaprosiłam cię do siebie do domu, gdy twoja mama była w mieście.

Mariko znowu uniosła wzrok.

– Nie pani – powiedziała. – Tamta druga kobieta. Ta z drugiej strony rzeki. Ona tu przysłała wczoraj wieczorem. Kiedy mama była daleko.

– Wczoraj wieczorem? Kiedy twoja mama była daleko?

– Powiedziała, że zabierze mnie do siebie, ale ja z nią nie poszłam. Bo było ciemno. Powiedziała, że możemy wziąć z sobą lampę – tu wskazała lampę wiszącą na ścianie – ale ja z nią nie poszłam. Bo było ciemno.

Za moimi plecami Sachiko podniosła się ze swojego miejsca i przyglądała się córce. Mariko umilkła, potem odwróciła się i ponownie zaczęła głaskać kota.

– Wyjdźmy na werandę – zaproponowała Sachiko. W rękach trzymała tacę z herbatą. – Na zewnątrz jest chłodniej.

Tak uczyniliśmy, zostawiając Mariko w kącie pokoju. Z werandy nie można było obserwować rzeki, lecz widziałam miejsce, w którym grunt opadał i robił się wilgotniejszy tam, gdzie stykał się z wodą. Sachiko usadowiła się na poduszce i zaczęła nalewać herbatę.

– W okolicy wręcz roi się od bezpańskich kotów – powiedziała. – Nie byłabym tak optymistyczna, jeśli chodzi o te kociaki.

– Rzeczywiście jest ich dużo – odparłam. – A szkoda. Czy Mariko znalazła go gdzieś tutaj?

– Nie, przywieźliśmy to stworzenie ze sobą. Jeżeli o mnie chodzi, wolałabym je tam zostawić, lecz Mariko nawet nie chciała o tym słyszeć.